

## LUCJAN WAŻNY

ur. 1921; Żółkiewka



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, Garwolin, Warszawa, Berlin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	II wojna światowa, pobór do wojska, walki na froncie, szpital polowy

### Pobór do wojska w sierpniu 1944 roku i pójście na front

Ja zostałem powołany do wojska z poboru. To było 24 sierpnia 44 roku. Ja nie byłem wyszkolonym żołnierzem, ale w gimnazjum czy w liceum już wtedy było tak zwane przysposobienie wojskowe, czyli już myśmy byli szkoleni tak jak wojsko. Ale żebym był oswojony z wojną to nie, żadnej styczności nie miałem. Poza tym nie byłem jakimś ochotnikiem, tylko po prostu z poboru. Tych kilka roczników było wziętych do armii. Pobór odbywał się w Lublinie. Na komisji się stawało, dostałem kategorię A, czyli pełnosprawny, i na Majdanku był taki 6 pułk zapasowy i tam przyjeżdżali z frontu nas „kupować”, jak to się mówiło. Przecież jak zginęło w pułku czy w batalionie iluś żołnierzy, to trzeba było uzupełniać. To my byliśmy jako uzupełnienie. I przyjechał taki, Żyd zresztą, później okazał się przyzwoitym człowiekiem, nazywał się Rotbaum. To był zastępca polityczny batalionu. Ale był przyzwoitym człowiekiem, później mi pomógł wydostać się z wojska, bo to nie było łatwo. Mnie chcieli koniecznie dać na szkołę oficerską. A ja myślałem tylko o medycynie. To byłaby dla mnie tragedia, a wtedy nie było przepros. Musiałeś iść na szkołę oficerską. I on mnie trochę obronił. Nie wiem dlaczego tak zrobił, ale tak zrobił. A od niego wiele zależało.

A w ogóle to potem z tego Majdanku, z pułku zapasowego, to szliśmy piechotą do Garwolina. To jeszcze trwała wojna. I najpierw byłem na przyczółku warecko-magnuszewskim, to tutaj gdzieś naprzeciw Garwolina tam, a później już, przy końcu sierpnia, byłem pod Warszawą. I tam najwięcej ucierpiałem w czasie wojny. Na tym przyczółku zachorowałem na czerwonkę. W wojsku była czerwonka. Nie było wody czystej. Jedzenie było głodowe. I na tym przyczółku piło się wodę z rzeki. Co to jest czerwonka? Krwawa dyzenteria. I jeszcze taki dowódca kompanii skłął mnie, że dopiero przyszedłem do wojska i już chcę do szpitala. Kazał mi usiąść pod sosną, żebym zrobił kupkę. Jak zobaczył, że to krew leci, to się przestraszył, bo się bali epidemii czerwonki. A w ogóle była wtedy epidemia czerwonki w wojsku. No i jechało się ciężarowym samochodem do szpitala zakaźnego, i trzeba było mieć pupę, przepraszam, ale muszę użyć tego słowa, za burtą, bo samochód nie stawał przecież

cały czas. Więc można się domyślić, jak wyglądała burta tego samochodu. No i szpital zakaźny był w kierunku zachodnim od Garwolina, ale tam już były namioty, tylko było strasznie zimno, nie było żadnych koców. Było kilka namiotów dużych i dwa drągi, na tych drągach były rozłożone nosze. I na tych noszach się leżało. Nie było koców i się przykrywało płaszczem tym swoim wojskowym. A było tak zimno, że zmieścili się we dwóch na noszach, żeby dwoma płaszczami się przykryć. Ale lekarze byli przeważnie polscy, była też taka Rosjanka zdaje się. I za parę dni byłem już zdrowy. Ale było jedzenie dobre w szpitalu Skondensowane mleko. Biały chleb, zupełnie inny. Nie było głodu. Bo na początku był w armii głód. No i później pod Warszawę. Ale Praga już była wtedy zdobyta, więc udziału w tym nie brałem, bo to 8 września była zdobyta Praga.

Pod Warszawą byłem ciężko kontuzjowany. To było w czasie tego gdzie był desant polski do powstania, bo powstanie trwało wtedy jak 3 dywizja zaczęła się tam przeprowadzać. Dziwne rzeczy się o tym mówi, ale ja to sam widziałem. Myśmy stawiali wtedy, bo ja byłem w tych wojskach chemicznych, zasłony dymne, żeby się piechota mogła przeprowadzać przez Wisłę. To była noc, na Wale Miedzeszyńskim leżałem. Kopałem dla siebie taki dół, dla pojedynczego strzelca jak to się mówiło. To się tak kopie łopatką szybko, bo to pociski padały jeden za drugim, przecież ostrzał niemiecki był ogromny. Oni byli wystrzelani, nie musieli celować, dzień i noc. Tym bardziej, że jak się stawiało te zasłony, to było widać skąd ten dym leci. Poczułem, że jakiś duży pocisk uderzył obok mnie i wyrzucił mnie w powietrze. I ja wpadłem do tego samego dołu, który najpierw sobie wykopywałem, łbem na dół. I zasypało mnie gruzem, ziemią. No na szczęście dowódca plutonu, był taki Jurij Bebko, oni podczołgali się do mnie pod ostrzałem i mnie wyciągnęli razem z takim szefem kompanii i zabrali do punktu medycznego. Ja nie byłem ranny, byłem tylko poobijany, ale krew mi ciekła zewsząd, z nosa, z uszu, z ust. Jak ktoś nie był na wojnie, to nie wie co to znaczy taki wybuch, który musiałem poczuć bardzo blisko, że mnie poderwał. No na szczęście to przeżyłem. Była taka Rosjanka, felczer w batalionie. „Ranny? Nie ranny. No to z powrotem do ziemianki, do okopu”. Ale koledzy się mną tam zajęli. Bo na wojnie najważniejsi są towarzysze broni. Po kilku dniach już było trochę lepiej, ale nie mogłem mówić. W końcu po jakimś czasie odzyskałem mowę. W związku z tym mam do tej pory czasami takie napady szalonych, niesamowitych bólów głowy, chociaż tyle lat już upłynęło od tego czasu. Ale to przeżyłem. Miałem szczęście.

Na tej wojnie miałem dużo szczęścia. Przecież miałem taką historię, że na tym Wale Miedzeszyńskim siedziałem razem z dowódcą plutonu, to był taki Jurij Bebko, to był Rosjanin, ale przemiły chłopak. Odważny, koleżeński. I myśmy we dwóch leżeli w takiej ziemiance nad brzegiem, na Wale Miedzeszyńskim. To było niedaleko od mostu Waszyngtona. Na tym moście Waszyngtona zginęło najwięcej moich kolegów. Znaczą pod mostem. I byliśmy we dwóch, mieliśmy ziemiankę taką, ale to przykryte było belkami sosnowymi, także był sufit i to było przysypane ziemią, tak że wydawało

się, że jest tam bezpiecznie. A mieliśmy tam pełno granatów dymnych w tej ziemiance. I ja się zdrzemnąłem. Przecież człowiek nie może wytrzymać bez snu tak długo. I śni mi się, że ja leżę w trumnie, a matka koło mnie klęczy i płacze. Ja się obudziłem i mówię: „Bebko, chodź, wyczołgamy się z tego zaczerpnąć trochę świeżego powietrza”. A nie wiedziałem co się stało. I myśmy się wyczołgali na Saską Kępę tam, na te ogrody, jakąś marchewkę tam żeśmy wyrwali, pamiętam. I w tym momencie patrzę, „Patrz Bebko”. A to pocisk olbrzymi uderzył właśnie w ten nasz schron. I jak zaczęły się rozwalać te granaty, to był niesamowity widok. Ten sufit nie wytrzymał, te belki nie wytrzymały. Czy to nie jest szczęście? Nie wierzyć w los? Można wierzyć w los. Oj, takich historii różnych miałem dużo na tej wojnie. Ale jak widać przeżyłem.

Mój batalion to był batalion zmotoryzowany. Myśmy mieli swoje samochody, przeważnie amerykańskie, jeszcze te studebakery były. Nie chodziliśmy piechotą, poza tym, że doszedłem piechotą do Warszawy. A później, jak już wyszedłem ze szpitala, to przy drogach stały tak zwane brygady zaporowe. To były takie punkty, że chwyтали takich, którzy chcieli gdzieś tam uciec. Przeważnie były to baby. Strasznie okrutne. Jak złapała gdzieś dalej od frontu, to po prostu rozstrzeliwany był na miejscu. To wtedy jechało się po tak zwanej pustej drodze. Czyli każdy wojskowy samochód to miał obowiązek zawieźć tam gdzie się mu podało, to znaczy najbliższy punktu gdzie się chciało dojechać. Samochody były doskonałe. Samochody były dobre. Co prawda pierwszy żołnierz, który zginął, to zginął w samochodzie. I to w dziwny sposób zginął. Zaraz po dojściu do Garwolina nadjechały samochody i wsiedli poborowi. Te ławy były z tyłu, na tych ławach myśmy usiedli, już mieliśmy hełmy. I nagle, kiedyśmy jechali przez las, jakiś trzeci czy czwarty od mnie żołnierz pada. Spada z tej ławy. A wariat nie założył hełmu i dlatego zginął. Co się okazuje? To dziwna śmierć była. Przejeżdżając przez las, na wozie są te pałaki takie z tyłu, na których jest brezent rozpięty, widocznie była jakaś ostra, ułamana gałąź i na tym pałaku się pewnie napięła ta gałąź i uderzyła go w łeb. Przedziurawiła mu czaszkę. A z dziurawą czaszką, to ja miałem też taką historię, że w czasie jednej przeprawy na Wiśle, kiedy byliśmy tam tuż tuż przy brzegu, zerwało mi hełm z głowy. Może nie był tutaj zapięty dobrze? Już nie pamiętam. Zerwało mi hełm i nie ma. A człowiek jak już zerwie hełm to czuje się jakby był nagi. I ja patrzę dookoła, ale patrzę, jakiś hełm tam leży. Ale bez przerwy padają pociski. Podczołgałem się, założyłem ten hełm na głowę. To była noc, skończyło się, świt, podchodzimy na odpoczynek pod Warszawę. Tak zwana Grochówka to była, takie miasteczko. I koleżka mój mówi: „Słuchaj, ty jesteś ranny”. „Jaki ranny? Co ty opowiadasz? Nic nie czuję”. „Zdejm hełm i zobacz”. I ja zdejmuję hełm, a tu w tym hełmie jest pełno krwi i pełno tkanki mózgowej. Czyli prawdopodobnie ja wróciłem w tym hełmie żołnierza, który zginął. Bo hełm nie chroni przed pociskiem karabinowym. I nie od wszystkich pocisków chroni. Ale cóż, na wojnie się dużo rzeczy zdarza.

Jak było natarcie na Warszawę 17 stycznia, to było coś niesamowitego. To biło

kilkadziesiąt tysięcy dział. I nie tylko że bezpośrednio z nad Wisły, ale i te działa, które były z daleka, kilka kilometrów dalej były. To był jeden wielki szum tylko nad głową, ja tak leżałem w okopie nad tym brzegiem Wisły, no od Wisły tam nie pamiętam, sto metrów przynajmniej było i tak jakby dzikie stado gęsi leciało nad głową, jeden wielki szum. Tony stali spadały na pozycje niemieckie. I Warszawa to była zdobyta, jak żeśmy poszli na Warszawę, to była pusta już prawie. Niemcy uciekli. Tak. Ja to wszedłem nad brzegiem Wisły do ziemianki, to tam jeszcze zupa była, talerz z zupą stał. Nie skończyli śniadania zjeść Niemcy i wiali. Bo ognia artyleryjskiego to trudno wytrzymać, jeżeli chce się przeżyć.

Każdy się bał. Wszyscy to przeżywali na pewno. To jest więcej niż emocje. Jak działa wała, pociski się rozrywają, wytrzymać sam huk tego, to trzeba mieć zdrowe nerwy. Zawsze się człowiek boi. W tych bohaterów to ja nie wierzę. Albo wyginęli albo ich nie ma.

Siedzieli w okopie albo zwykle w ziemiankach, wykopywało się ziemianki. Zależy w jakiej sytuacji to było. Bo jeżeli na przykład była zima, przecież natarcie to zimowe, od 18 stycznia, to kopać było dość trudno. To trzeba było korzystać tylko ze starych umocnień i zabudowań. Ale zwykle Niemcy wiali wtedy. Nie wytrzymywali natarć. Chociaż masę ludzi zginęło przecież. Zginęło w Polsce około 600 tysięcy ludzi. Przecież to jest potworna ilość ludzi. Bo Niemcy byli świetnie uzbrojeni, byli bardzo dobrze wyćwiczeni, to był doskonały żołnierz niemiecki. Dowództwo mieli dobre z całą pewnością. Ale na wschodzie było nie gorzej, tylko inaczej. Ale nie gorzej. A czy się załamywali? Nie widziałem, żeby się żołnierz załamywał. Jeżeli się załamywał, to cicho w duchu. Ale nie uzewnętrzniał tego. Bo co miał zrobić? Przecież nie było innego wyjścia.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2012-05-10, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Wioletta Wejman
<b>Transkrypcja</b>	Maria Radek
<b>Redakcja</b>	Maria Radek
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"